

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 80 zł.
1/2 " — 40 "
1/4 " — 20 "
1/8 " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Dysonanse.

Bardzo rozsądnie postąpił rząd angielski proponując zaniechanie zwyczaju składania wieńców na grobie Nieznanego Żołnierza. Zwyczaj ten bowiem podsyca ustawicznie w duszy tłumów wspomnienia o krwawych walkach ze wszystkimi straszliwymi ich przeżyciami i utrudnia zasypanie przepaści, jaka się wytworzyła pomiędzy dwoma wrogimi obozami: zwycięzców i zwyciężonych. Zdaniem rządu angielskiego nie należy jątrzyć ran, które już zaczęły się goić.

Takiem niepotrzebnym jątrzeniem był również obchód dziesięciolecia zajęcia Wilna przez gen. Żeligowskiego, w wyniku którego nastąpiło wcielenie Wileńszczyzny do państwa polskiego. Odświeżanie w pamięci pożałowania godnych ekscesów i nastrojów w dobie ówczesnej, jednostronne, z natury rzeczy, wytykanie win i błędów, popełnionych przez przeciwnika, podkreślanie momentów drażliwych — wszystko to oczywiście nie sprzyja próbom porozumienia polsko-litewskiego, o którym jednocześnie tyle się mówi i na którego potrzebę kładzie się taki nacisk.

Możnaby jeszcze zrozumieć triumfalne fanfary, dziękczynne nabożeństwa i parady wojskowe w tym wypadku, gdyby zbrojny czyn gen. Żeligowskiego osiągnął swój cel w zupełności, gdyby jego konsekwencje odpowiadały planom i zamierzeniom inicjatorów tej akcji. Gdyby chodziło tylko o przyłączenie Wileńszczyzny do swej „Macierzy” — jak się wyraził jeden z mówców na zjeździe obrońców Wilna — to radość uczestników obchodu byłaby całkiem usprawiedliwiona. Krótko mówiąc, gdyby obchód urządziła endecja, która pragnęła jedynie „wcielenia bez zastrzeżeń”, nie myśląc o żadnych szerszych widnokręgach, nie troszcząc się o dalsze skutki wykonania swego ciasnego i krótkowzrocznego pro-

gramu, — okrzyki triumfalne byłyby zupełnie na miejscu, a świętowanie rocznicy miałyby wszystkie cechy szczerzej bezpośredniości.

Jednakże obchód odbywał się bynajmniej nie pod egidą endecką. Przeciwnie endecja manifestacyjnie zachowywała postawę pełną rezerwy, a miejscowy jej organ naczelny uległ nawet właśnie w dniu obchodu konfiskacie. Obchód był organizowany przez pilsudczyków, przez tych, co tworzyli i realizowali Litwę Środkową, a ich dążeniem nie była bynajmniej inkorporacja Wileńszczyzny. Mieli oni aspiracje szersze, nosili się z zamiarem utworzenia wielkiej Litwy ze stolicą Wilnem. Takie wyznanie mianowicie złożył gen. Żeligowski na obecnym zjeździe, tak oświadczył w swym przemówieniu najbliższy jego współpracownik, pierwszy prezes T. Komisji Rządzącej, tak wreszcie pisze w „Kurjerze Wileńskim” dobrze poinformowany p. Testis.

Nie będziemy się wdawać w krytyczną analizę tych oświadczeń. Możliweby zakwestjonować ich ścisłość opierając się na wynurzeniach Marszałka Piłsudskiego, który w jednym ze swych odczytów, wygłoszonych w Wilnie w r. 1923, zaznaczył wyraźnie z jednej strony, że nie jest i nigdy nie był zwolennikiem koncepcji federalistycznej, a z drugiej strony, że gen. Żeligowski był tylko wykonawcą jego rozkazów i instrukcyj.

Możnaby również poddać w wątpliwość twierdzenie tychże autorytatywnych reprezentantów Litwy Środkowej, że realizacji tych rozległych planów stało na przeszkodzie niezrozumienie ich i niechętnie stanowisko Warszawy i Kowna, bo przecież pamiętamy wszyscy dobrze, że sam rząd Litwy Środkowej nic nie uczynił w kierunku ich urzeczywistnienia, stosując surowe represje jedynie względem opozycji litewsko-białoruskiej, a tolerując jednocześnie zaciekłą kampanję przeciwko sobie ze strony aneksjonistów polskich.

Lecz mniejsza o przeszłość. Kto zawinił w tem,

że pomysł Litwy Środkowej stał się całkiem chybiącym i zbyt wymagalnym, czy Warszawa, która po krótkich wahaniach zdecydowała się zdyskontować „bunt” gen. Żeligowskiego na swoją korzyść, czy Kowno, które nie potrafiło wyzyskać doskonałej sposobności, by za pomocą formalnego uznania Litwy Środkowej pozorną jej odrębność i samodzielność zamienić w rzeczywistość, czy też najbardziej sam gen. Żeligowski, który znalazł się w niezmiernie trudnej i odpowiedzialnej roli, nie mając do niej żadnego przygotowania — o tem wszystkim zawyrokuję kiedyś historia. Zbyt to niedawne jeszcze dzieje, by można było o nich wydać sąd bezstronny.

Nas tu interesuje w danej chwili przyznanie się inicjatorów środkowo-litewskiej imprezy do aspiracji wielko-litewskich. Przyjmujemy je z dobrą wiarą, nie wchodząc w jego pobudki i pytamy tedy: czegoż się cieszyacie i bijecie w tam-tamy, gdy rzeczywistość tak okrutnie zdrwiła z waszych pięknych zamiarów? Cóż osiągnęliście? Czy zbliżyliście się choć o krok do wytkniętego przez siebie celu, czy przeciwnie zwaliliście własnymi rękami na drodze doń tak ciężki głaz, że dziś już żadne wysiłki ruszyć go z miejsca nie są w stanie? Cóż zyskała idea federacyjna, co zyskała Wileńszczyzna, co zyskała wreszcie Polska przez ten akt wcielenia, do którego wyście się przecie najbardziej przyczynili?

Stało się zadość odruchowi uczuciowemu miśszczaństwa wileńskiego, stało się zadość ambicji narodowej, stało się zadość popularnym hasłom. Ale czy wygrały na tem interesy całej ludności i całego kraju, czy wygrał interes państwowy Polski?

I interes naszego kraju i interesy państwowe Polski wymagają porozumienia z Litwą. Jest to prawda, której już dziś nie potrzeba dowodzić, która jest powszechnie uznawana i której wartości nie

obniża okoliczność, że porozumienie leży również w interesie Litwy.

Porozumienia tego pragną i wierzą w nie również organizatorzy obchodu. Co więcej nawet, gen. Żeligowski oświadczył, że idea, która przyświecała rządowi Litwy Środkowej, a więc idea wielkiej Litwy nie została pogrzebana nazawsze i że z czasem zostanie zrealizowana.

Czyż sądzą oni, że wcielenie Wileńszczyzny do Polski jest momentem ułatwiającym i zbliżającym rozwiązanie kwestji stosunków polsko-litewskich w ogóle, a wileńskiej w szczególności? I czyż przypuszczają oni, że uroczystości upamiętniające ten akt przyczynić się mogą do wytworzenia atmosfery sprzyjającej podobnym nadziejom?

Fakt się stał i cofnąć go niepodobna. Nie może on jednak w żadnym razie służyć za punkt wyjścia do podjęcia na nowo zarzuconych już koncepcyj federalistycznych, a tembardziej do wszczynania kroków pojednawczych. Zbyt rażącym dysonansem dźwięczą nuty wielko-litewskie we wszechpolskich kantatach, najzupełniej zresztą stosownych i odpowiednich przy obchodzie „święta wyzwolenia Wilna z pod obcej przemocy”.

Powrót z pustemi rękami.

Stosunki w kraju tak się u nas ułożyły, że tylko nieliczna warstwa, swego rodzaju elita społeczna — nie zawsze zresztą trwalszemi niemi z krajem naszym związana — może, w obecnych czasach i warunkach, oficjalnie głos zabierać w rozmaitych sprawach, dotyczących różnorodnych zagadnień życia krajowego. Nie mając wprawdzie większego wpływu na bieg życia w kraju, które toczy się swoją koleją, wyzna-

W. Ks. Witold w literaturze polskiej.

D. 1 b. m. odbyło się w Wilnie zebranie Litewskiego Towarzystwa Naukowego, na którym redaktor naszego pisma wygłosił referat p. t. „W. Ks. Witold w literaturze i sztuce polskiej”. Poniżej zamieszczamy pobieżne streszczenie pierwszej części tego referatu.

Jeżeli będziemy przeglądali nazwiska szlachty, dygnitarzy, mieszczan i włościan naszych w XVI, XVII i XVIII w., to nigdzie nie spotkamy się z imieniem Witold. Nie było to imię chrześcijańskie, a w dawnych czasach nie było u nas w zwyczaju dawać na chrzcie św. imiona, nie figurujące w spisie świętych. Od połowy zaś XIX w. przeciwnie Witold staje się imieniem niezwykle rozpowszechnionem i to nie tylko wśród Polaków litewskich, ale nawet i w rdzennej Polsce. Co więcej nawet spotykamy się nieraz z imionami Olgierd, Biruta, Milda, Grażyna. Tę modę na imiona litewskie zawdzięczamy literaturze z okresu romantycznego, która tak często sięgała po tematy do przeszłości Litwy.

Jak wiadomo, zasadniczą cechą romantyzmu było zamiłowanie w wiekach średnich. Pod tym wzglę-

dem dla romantyków polskich Litwa przedstawiała wdzięczny niezmiernie teren. Jej historia wieku XIV obfituje w jednostki, które same przez się musiały pociągać ku sobie wyobraźnię poetycką: taki Gedymin, Olgierd, Kiejstut, Witold — są to postacie historyczne, a równocześnie napół legendarne. Owiane są aureolą rycerskości, a równocześnie jakby pewną tajemniczością; wychylają się na światło historyczne, a równocześnie tkwią napoły w pomroku odwiecznych lasów litewskich. Dzieje litewskie w wieku XIV — to epoka bohaterskich zapasów z Moskwą, z Polską, z Krzyżakami, z Tatarami; to fakty historyczne, do poznania których kroniki dostarczały dosyć wiadomości, a równocześnie jakieś dalekie, odległe, niemal mityczne. Wszystko to odpowiadało w sposób wprost niezrównany postulatowi artystycznemu epoki, jej wyobrażeniom o duchu i źródłach poezji.

Prócz przyczyn ogólnych, wspólnych wszystkim romantyzmowi współdziałały również przyczyny szczegółowe, jak kilkunastoletnia wspólność historyczna z Polską, poczynaający się ruch ku wskrzeszeniu narodowemu Litwy (Poszko-Paszkiwicz, Drozdowski, Staniwicz), wzmożony ruch historjograficzny, wreszcie oddziaływanie literatury niemieckiej. Wszystkie te

czoną mu przez nieubłagany układ stosunków politycznych — otaczając się nimbem wysokiej troski o losy kraju, wyrokując jednak często o trudnych i nieraz zagmatwanych sprawach bieżących, jak politycznych, tak i gospodarczych. Jeszcze tak niedawno dochodziły stamtąd głosy bezgranicznego optymizmu. Smutna i twarda rzeczywistość nie miała, zdawało się, dostępu do tych piewców radości. Niezliczone uroczyste obchody i festyny, deklaracje patriotyzmu i lojalności — wypełniały treść i zastępowały rozsądek i rozagę. Każdy krytyczny głos, każde odosobnione wystąpienie, nie dopasowane do tego radosnego chóru, były poczytywane za objaw nielojalności.

I oto, w czasach ostatnich, coś się zaczęło psuć w tej radosnej orkiestrze patentowanych optymistów i lojalistów. Początkowo nieśmiało, a później coraz wyraźniej zaczęły dochodzić z tego środowiska odgłosy zwątpienia i pesymizmu. Okazało się, że nie jest znowuż tak wszystko w kraju dobrze i pomyślnie. Że istnieją w kraju takie zagadnienia, na które oczu stałe zamykać niepodobna. Rzeczywistość codziennego życia przemawia nieraz zbyt twardymi słowami, aby je mogły zagłuszyć radosne fanfary. Błada twarz strachu i troski o teraźniejszość i przyszłość zaczęła zaglądać i w oczy beztroskich optymistów. Rozlega się więc poczęły alarmujące głosy, skierowywane, jak zwykle, do źródła wszelkich nadziei — do rządu. Zaczęto nawet operować arytmetyką wyrazistych cyfr, które nie miały przedtem dostępu do rozpalonych radością łbów. Zaczęto prosić, błagać, straszyć i doradzać.

Rozumowania rozmaitych urzędowych i nieurzędowych radców biegną po linii bardzo zresztą uproszczonej, a stanowią przyczynek do charakterystyki umysłowości i orientacji tych sfer. Rozumowania doradcze polegają na tej prostej przesłance, że wszelkie dolegliwości i bolączki naszego życia krajowego wynikają jedynie z przejściowej, powojennej stagnacji ekonomicznej, którą można uleczyć specjalnym dumpingiem, zastosowanym przez państwo do naszego kraju. A skoro tak jest, to należy tylko miarodajne czynniki państwowe tak usposobić i tak im te sprawy umiejętnie wyklarować, aby zdecydo-

waly się wreszcie ten dobroczynny dumping, polegający na rozmaitych świadczeniach i ulgach, zastoso-
sować. W tym też celu puszczane są w ruch rozmaite argumenty, przeważnie charakteru politycznego, które mają rzekomo specjalnie silnie oddziaływać na wolę rządu. Chętnie się więc wykazuje, że wywrotowa agitacja ma swoje jedyne źródło w zubożeniu mas wiejskich — trzeba więc szybko naprawić ich byt materialny, a wpływy wywrotowe znikną bezpowrotnie. Sprawy narodowościowe mogą być również pomyślnie rozstrzygane prostymi środkami ekonomicznymi. Podług tej recepty włościańskim masom białoruskim wystarczy w zupełności pełna misa, która najlepiej w naszych warunkach może rzekomo rozstrzygać zawikłane problemy narodowościowe. Opinia ta jest zresztą bardzo rozpowszechniona wśród warstw miejscowej polskiej inteligencji, a również przychylnie jest traktowana i przez sfery rządzące. Biedny, ciemny, nieokrzesany Białorusin, który tak chętnie obecnie nastawia ucha na wszelkie podszepty wywrotowe i na propagandę narodową białoruską — dobrze nakarmiony i odziany, przestanie być podatnym materiałem dla wszelkich niepożądanych oddziaływań. Pod wpływem szkoły polskiej i innych dobrodzieństw, uzyskiwanych od państwa — szybko ulegnie asymilacji narodowej i państwowej.

Z tych pomyślnych horoskopów wynikają jasne recepty, a więc: trzeba wsie komasować jaknajusilniej, trzeba dostarczyć obfitych kredytów, budować drogi i mosty, osuszać bagna, organizować spółdzielnie i t. p. i t. p. Ale na to wszystko potrzeba dużo pieniędzy! Na to są potrzebne specjalne źródła! No, ale Polska jest wielka i bogata, powinno ją stać na to, aby swoje ukochane, a zagrożone „Kresy” obdarzyć wszelakimi dobrodziejstwami. Powołując się więc na te wzniosłe zadania, ubierając to w formę patetycznych ogólników o misji polskiej na „Kresach”, o reductach polskości, o mocarstwowości, a przeciwstawiając temu ponury obraz tych możliwości, które powstać mogą, jeżeli rządy państwa nie pójną drogą powyższych rad i wskazówek — kołacze się do rządu z wołaniem: daj!

Naiwna wiara w to, że drogą jakichś specjal-

przyczyny powołały do życia szereg utworów literackich, w których występują bohaterzy litewscy, a wśród tych Witold zajmuje miejsce pierwsze.

W r. 1817 ukazała się „Jagiellonida” poemat Dyzmy Bończy Tomaszewskiego, rzecz bez wartości artystycznej, lecz ze względu na temat i epokę, którą opiewa, mająca niewątpliwie pewien wpływ na rozbudzenie zainteresowania do rzeczy litewskich wśród czytelników, a co jeszcze ważniejsza wśród twórców. Słusznie bowiem zauważył Fr. Augustaitis, że o Jagiellonidzie Tomaszewskiego świat byłby zapomniał, gdyby nie to, że wywołała ona recenzję studenta uniwersytetu wileńskiego, drukowaną w „Pam. Warszawskim”. A tym studentem był Mickiewicz.

W recenzji tej widoczne jest znaczne już wykształcenie młodego studenta i znajomość jego dziejów Litwy. Kto wie, czy Jagiellonida właśnie nie skierowała uwagi poety ku przeszłości Litwy. Bo bezpośrednio po Jagiellonidzie drukuje się „Żywila” i rozpoczyna się okres „litewski”, jeśli tak się można wyrazić w twórczości Mickiewicza. Do tego okresu należą „Grażyna” i „Konrad Wallenrod”.

Chociaż Witold nie występuje w tych poematach

bezpośrednio, jednakże poeta potrąca oń zwłaszcza w „Grażynie”. W wynurzeniach Litawora Witold jest przedstawiony tak, jak nań musieli patrzeć współcześni mu książęta udzielnicy w Litwie, rozmaici Skirgajłowie i Świdrygajłowie. Szczególnie godnym jest uwagi ustęp, w którym Litawor w odpowiedzi na przedłożenia Rymwida, jak niepatriotycznym jest łączenie się z krzyżakami przeciw Witoldowi, opowiada wymownie swe urazy i krzywdy a zarazem maluje wyniosłość nieprzyjaznego mu władcy. Jest również wzmianka o Witoldzie i w poemacie „Konrad Wallenrod”, ale tu wielki książę ukazuje się jako postać drugoplanowa i niewyraźna, przesłonięta przez figury centralne Wallenroda i Halbana.

Wogóle postać Witolda przewija się przez szereg utworów literackich, ale nie jest w nich odmalowana wyraziście i odpowiednio do swej wagi gatunkowej. Do tej kategorii należą powieści „Pojata” Feliksa Bernatowicza, „Matka królów” Kraszewskiego, wreszcie o wiele późniejsza: „Krzyżacy” Sienkiewicza.

Właściwy kult Witolda stwierdzić możemy dopiero w pracy historycznej Kraszewskiego „Litwa za Witolda”, w poemacie tegoż „Witoldowe boje” oraz w dziele Karola Szajnochy „Jadwiga i Jagiełło”.

nych zabiegów ekonomicznych i specjalnych świadczeń władze państwowe są w stanie usunąć wszelkie dolegliwości, pod którymi kraj się ugina — jest tak wielka, że twórcy tych teorii mało nawet troszczy się o nasuwające się pytania: czy państwo polskie, w dzisiejszych swych warunkach może istotnie rozporządzać potrzebnymi na ten cel środkami, skąd te środki wynajdzie i jaką drogą je zastosuje? Naturalnie zgoła nie powstaje wątpliwość, czy te specjalne środki naprawdę zdołają zaradzić złemu.

Na tle takiego nastawienia umysłów, któremu ulegają nie tylko tak zwane czynniki społeczne, lecz któremu również holdują i miejscowe sfery rządzące — rozwijać się zaczęły rozmaite projekty, a organizacje gospodarcze i społeczne poczęły oficjalnie formułować postulaty i wnioski. Miały one z jednej strony uzasadniać palące potrzeby rozmaitych gałęzi życia gospodarczego, z drugiej strony przekonywać i kłarować rządowi, że drogą stosowania specjalnych ulg i świadczeń osiągnąć tu może niepospolite, a doniosłe dla państwa sukcesy polityczne. Największą troskę stanowiło to, aby jakoś trafić do serca i umysłu rządu, przekonać go — a reszta, to już pójdzie, jak z płatka.

Mając to na względzie obrano drogę, która zdawała się prowadzić najprościej do celu. Oto wyjednano u Pana Prezydenta zgodę na urządzenie wielkiej narady na Zamku w Warszawie, gdzie pod protektoratem zwierzchnika państwa zamierzano wyłuszczyć rozmaite projekty, prowadzące do naprawy ciężkiego położenia naszego kraju i wreszcie wyjednać w tej mierze przychylnie zarządzenie czynników rządzących.

Pragnieniem stało się zadość i dn. 16-go października b. r. odbyła się wreszcie, szumnie przez prasę zapowiadana, narada na Zamku u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Zaproszono tam licznych reprezentantów z dwóch województw — wileńskiego i nowogródzkiego. Grono radzących gości wynosiło pono paręset osób. Zjawili się pp. ministrowie i szereg wysokich dygnitarzy społecznych i „regionalnych”. Aż pięć referatów, wygłoszonych przez przedstawicieli kraju dało bardzo obfity materiał, który oświetlił

stan wspomnianych województw. Zdawało by się, że aranżerowie osiągnęli niepospolity sukces, a sądząc z zapowiedzi prasy wileńskiej i warszawskiej zapaść na owej naradzie miały postanowienia brzemiennie w doniosłe dla naszego kraju następstwa.

Jednakowoż ta, tak szumnie zapowiadana narada nie wywołała jakiegobądź konkretnego skutku. Charakterystyczną jest rzeczą, że nawet pisma codzienne wileńskie nie podały jakichś dokładniejszych sprawozdań. Po szumnych zapowiedziach jakoś wszystko ucichło. A wszak miały tam pono być decydowane sprawy nie tajnej dyplomacji, lecz ważne sprawy, obchodzące ogół społeczeństwa. Dopiero ubocznie z głosów i relacyj uczestników tej narady można było coś niecoś się dowiedzieć. Okazuje się, że słaby odgłos tak rzekomo doniosłej narady przypisać należy temu, że nie osiągnięto na niej nie tylko spodziewanych sukcesów, lecz nie osiągnięto zgoła nic pozytywnego. Panowie ministrowie, którzy brali żywy udział w dyskusji, poza uprzejmymi ogólnikami, nic decydującego zadeklarować nie mogli. Podobno nawet panowie ministrowie wyjaśniali zebrany przedstawicielom, że kraj nasz jest poprostu oczkiem w głowie rządu, że jest specjalnie pod wszystkimi względami faworyzowany, w porównaniu do innych dzielnic państwa. Jedyne wice-minister skarbu okazał się mniej uprzejmy, gdyż miał podobno otwarcie wypowiedzieć opinię, że wobec istniejącego kryzysu na żadne większe świadczenia rząd pójść nie może.

Słowem, o ile te informacje są prawdziwe, naszych radców spotkał kompletny zawód. Wyjeżdżali do Warszawy pełni różowych nadziei, a powrócili, mówiąc słowami rosyjskiej bajki: „nie sołono chlebawszy”. Dla nas ten niefortunny rezultat warszawskiej narady nie stanowi żadnej niespodzianki. Czyż można spodziewać się, że państwo polskie, wobec swoich niepomiernych trudności gospodarczych, może pozwolić sobie na jakiś specjalny rozległy program gospodarczy dla jednej ze swoich prowincyj? Zresztą salomonowa zasada, że „z próżnego nie nalejesz” ma swoje uzasadnienie i w tym wypadku. Problem gospodarczy Wileńszczyzny — jest jednocześnie pro-

Chronologicznie pierwszy poświęcił Witoldowi swą monografię Hlebowicz. Monografia ta ukazała się pierwotnie w „Dzienniku Wil.” (1821) a następnie w osobnym wydaniu. Jednakże dopiero Kraszewski ukazał nam wizerunek wielkiego Litwina w całym blasku otaczającej go aureoli.

„Litwa za Witolda” drukowana była w r. 1849 w „Ateneum wileńskim”. Treść historyczna pracy mimo wielu usterek, płynących z niedostatecznej znajomości źródeł jest bardzo obfita. Witold w tym utworze, nawpół naukowym, a nawpół literackim występuje jako dzielny organizator i wytrawny polityk. Omawiając czyny i politykę Witolda długi końcowy rozdział autor poświęca zabiegom jego o koronę. Usprawiedliwiając Witolda za jego dążenia, właściwe potężnej indywidualności Kraszewski wykazuje tu w całej pełni swój obiektywizm.

Również z sympatją wielką traktowana jest postać Witolda w dziele Karola Szajnochy „Jadwiga i Jagiello”. „Witold rządca wyborny ustawicznie na koniu był wszędzie rozkazem i nadzorem swoim przytomny; był on zarazem wodzem, sędzią, naczelnikiem kościoła, ekonomem i kupcem. W niezmor-

dowanej pilności sędowniczej, w przyrównaniu Litwy do innych krajów europejskich, w ubezpieczeniu własności i pożytku szukał Witold głównej załugi i jedynej chwały u swoich i cudzoziemców. To też Litwa rozkiełzana i bezwładna do jego czasów, stała się krajem rządzonym i potężnym, sławnym, jak nigdy później”.

Takimi słowami pełnymi uznania i w ten sam sposób dalej maluje Szajnocha w „Jadwidze i Jagielle obraz W. Ks. Witolda.

Najbardziej jednakże plastycznie i z dużym zasobem uczucia została odtworzona postać Witolda w poemacie Kraszewskiego „Witoldowe boje”, który się ukazał w druku około r. 1840, i który został powitany przez krytykę z wielkim uznaniem.

I dziś możemy jeszcze podziwiać wielką intuicję poetycką, która pozwoliła Kraszewskiemu oświetlić duchowe wnętrze Witolda bez fałszywych akcentów, bez żadnej tendencji, z głębokim zrozumieniem i odczuciem dominującego rysu jego charakteru — bezgranicznego umiłowania swej ojczyzny, które kierowało wszystkimi jego czynami, pod wpływem którego dopuszczał się podstępów, zdrad i okrucieństw

blemem politycznym. Nie można go rozstrzygnąć drogą petycji, memorjałów, czy wpływów osobistych. A na pukanie w głuchą ścianę, wrota Sezamu nie otwierają się.

Kir.

Mieliśmy możliwość zapoznać się z tekstem memorjału UNDO w sprawie głośniejszej akcji „pacyfikacyjnej” w Galicji Wschodniej, złożonego Radzie Ministrów i — przecieramy oczy ze zdumienia. Czy jest możliwym, aby się działy takie rzeczy, jakie wymienia memorjał?

Memorjał ten w odpisach krąży w szerokich kołach, budząc zrozumiałą sensację. Jeżeli zawarte w nim fakty są zmyślane lub przesadzone, to trudno zrozumieć, czemu sfery rządowe milczą i nie pociągają autorów memorjału do odpowiedzialności za rozpowszechnianie wiadomości, budzących niepokój w społeczeństwie. Jeżeli zaś wszystko to jest prawdą, to dziwić się należy, że nie rozległ się dotąd w prasie polskiej donośny głos protestu i oburzenia.

Jak dotychczas bowiem, możemy zanotować jedno tylko wystąpienie p. L. Ch. na łamach „Tygodnia”, potępiające metody galicyjskich pacyfikatorów. Jako pochodzące z łona opozycji nie wywarło ono większego wrażenia. Czyż w obozie rządowym nie znajdzie się żadnego publicysty, któryby zadał sobie trud sprawdzenia „przytoczonych” w memorjale faktów i posiadał dostateczną odwagę cywilną, by napiętnować gwałty i ekscesy zbyt gorliwych wykonawców, jeżeli one rzeczywiście miały miejsce?

Zarzuty są zbyt ciężkie, by można było przejść nad nimi do porządku dziennego,

Za i przeciw unji.

Sprawa akcji unjonistycznej w naszym kraju nie przestaje być aktualną; w sprawie tej to tu, to ówdzie zabierają głos osoby mniej lub więcej interesujące się jej rozwiązaniami.

Nie tak dawno nad powyższą sprawą rozwinęła się na łamach „Słowa” obszerna polemika. Zarysowały się wyraźnie dwa obozy: jeden zwalczający akcję

(p. p. Cat, W. Charkiewicz i Romunt), drugi (ks. J. Urban i X. W. M.) występujący za prowadzeniem akcji w dalszym ciągu.

Ciężkie działa przeciwko Unji wytoczył p. Cat wysuwając jako argument contra polską „rację stanu”, uzasadniając swe negatywne stanowisko tem, że unja rozbudzi tylko nacjonalizm, jak to zrobiła unja brzeska, usposobi wrogo prawosławnych, czego Polska mająca wielkie zadanie na Wschodzie, winna unikać, że akcja obecna, znajdująca się przeważnie w rękach księży konwertytów nieraz o ciemnej przyszłości jest nietrwałą, że dąży ona do rusyfikacji kraju, a to ze względu na przyjęty ryt synodalny, że wreszcie wskazane jest przeciwnie popieranie Cerkwi prawosławnej, ponieważ może ona stać się ostoją polskości na ziemiach ruskich. Wobec tego p. Cat domaga się zaniechania akcji unjonistycznej.

Tak ujęta kwestja nie wytrzymuje krytyki. Przedewszystkiem autor nie ma powodu tak bardzo narzekać na unję brzeską, która popchnęła około 2¹/₂ milionów prawosławnych w objęcia polskości, a stało się to dzięki temu, że dużo unitów przeszło następnie na obrządek łaciński.

Razi p. Cata to, że zapoczątkowana akcja unjonistyczna posługuje się formami wschodnimi, przypominającymi rosyjskie, że nie uwzględniła interesów narodowych polskich, że w akcji tej bierze udział kilku duchownych, mniej godnych nazwy kapłana katolickiego.

Tak rozumując p. Cat wyobraża widocznie, że ludność prawosławna miejscowa łącznie do polskości i katolicyzmu.

P. Cat powinien znać stosunki miejscowe o tyle, żeby się nie poddawać podobnym złudzeniom. Powinien wiedzieć chyba, że ani z tradycji, ani z nabytego doświadczenia prawosławny włościanin tutejszy nie żywi żadnego entuzjazmu względem państwowości polskiej, kultura zaś polska i obrządek łaciński są dlań zupełnie obce i nie posiadają żadnej siły przyciągającej.

Nic wobec tego niema dziwnego, że księża pracujący na niwie unjonistycznej, pozostawiając na stronie wszelkie momenty polityczne ograniczyli swój

i które było jedyną pobudką w jego wytrwałych dążeniach do osiągnięcia zwierzchniej władzy, do włożenia na swe skronie korony królewskiej.

Nie przez próżność i chciwość sławy pragnął Witold dla siebie korony i wielką zasługą Kraszewskiego jest, że potrafił się ustrzec tego powierzchownego a tak rozpowszechnionego posiadzenia.

W poszczególnych ustępach poematu fantazja poety wzbija się wysoko, zdobywając się na owiane prawdziwym natchnieniem obrazy. Znać, że temat był bliski i pociągający dla twórcy, że postać Wielkiego Witolda przemawiała do jego serca i wyobraźni. Nie omylimy się bodaj, jeżeli Kraszewskiemu właśnie przypiszemy zasługę spopularyzowanie wśród ogółu polskiego postaci i imienia Witolda.

W historjografji polskiej, pomijając wspomniane już prace Kraszewskiego i Szajnochy, których nie można uważać za dzieła ściśle naukowe, osoba i dzieje Witolda zajmują miejsce niepoślednie i trzeba przyznać, że historycy polscy, wzorując się być może na kronikarzu Długoszu, który nie lubiąc Jagielly odnosił się z sympatją do Witolda, traktują na ogół bohatera Litwy bez tego uprzedzenia i niechęci, jakich

możnaby się po nich spodziewać zważywszy na niejednokrotną sprzeczność czynów i zamierzeń Witolda z polską racją stanu. Zarówno Szujski, który nazywał Witolda Napoleonem litewskim, jak Smolka, Prochaska, Halecki i inni podnosili wielkie zasługi Witolda, nie mogąc mu tylko wybaczyć jego dążenia do korony litewskiej. A taki Kochanowski w monografji o Witoldzie, wydanej w r. 1900 rozgrzesza go nawet i z tego pragnienia, utrzymując swoją ocenę w tonie niemal entuzjastycznym, tak, jakby pisał o bohaterze narodowym.

Dopiero w obecnym roku jubileuszowym ukazało się dzieło Kolankowskiego „Dzieje W. Księstwa Litewskiego za Jagiellonów”, którego autor zajmuje stanowisko krytyczne względem wielkości Witolda, obstając za wyższością Jagielly. Ale pytanie jeszcze, czy bijące na oryginalność wywody tego historyka nie zostaną obalone przez krytykę naukową.

wysiłek do zadań czysto religijnych, usiłując zaszczylić temu prawosławnemu włościaninowi ducha katolickiego, uważając mowę, szaty, rytuał i t. p. tylko za podrzędne akcesorja swej pracy. W jakim kierunku wyleje się ta praca „jutro”, czy będzie ona łaćwińska czy wschodnią, czy będzie ona polską czy białoruską czy ukraińską, trudno dziś o tem mówić, a zresztą dla „dzisiaj” jest to kwestją obojętną. „Dzisiaj” wymaga podania ludowi prawosławnemu nauki katolickiej w formie dla niego najbardziej dostępnej, do której on przywykł, by w ten sposób przeciwstawić się rozkładowi, jakiemu ulega wieś ze strony czerwonego Wschodu. I trzeba przyznać, że tam, gdzie zjawił się kapłan unicki, niezależnie czy w riasie czy w rewerendzie, tam ideologia katolicka zaczyna już swój wpływ zbawienny wywierać. Jeżeli już stać na gruncie racji stanu, to interes państwowy bezwzględnie wymaga poparcia akcji unijnistycznej.

W błędzie jest p. Cat twierdząc, że ruch unicki znajduje się w rękach kapłanów o ciemnej przeszłości, bo większość kajerowiczów powróciła na łono Cerkwi prawosławnej, pozostało kilku w Kościele, lecz ci gorliwą pracą na niwie religijnej okupują dawne grzechy. A pozatem do Unji garną się jeszcze i ci duchowni konwertyci z prawosławia, których nie gnęła do Kościoła karjera, a nie brak również i kapłanów unickich, którzy przeszli z obrządku łaćwińskiego, ukończywszy studia teologiczne wschodnie, nie mówiąc już o Jezuitach, którzy odegrywają rolę kierowniczą. Bo i cóż może dziś pociągać do Unji prócz idei?

Być dziś parochem unickim w naszym kraju, to ciężki obowiązek, a nie żadna karjera lub synekura.

Dalej p. Cat, przytaczając gotowość Ojca św. Piusa XI odkupienia od bolszewików zagrabionych cennych przedmiotów liturgicznych cerkiewnych, celem wrócenia ich cerkwiom, czyni następującą uwagę: „na naszym terenie największym kamieniem obraży rzuconym w Cerkiew jest istnienie obrządku słowiańskiego”.

Jakto, więc nie jest nim zalegalizowanie przez państwo szundystów, baptystów i innych sekt szarpiących łono Cerkwi, nie jest nim głośna akcja rewindykacyjna, ale zagrażać ma tej Cerkwi najbardziej cicha działalność kilkunastu kapłanów unickich? To chyba najslabszy argument.

Ale przyjrzyjmy się obliczu Cerkwi prawosławnej, na której p. M. chce oprzeć swą „rację stanu”, no i misję na Wschodzie.

Przedewszystkiem musimy sobie to uprzytomnić, że Cerkiew prawosławna w Polsce w obecnym swym stanie jest do głębi rosyjską i żadne kurtuazyjne śpiewanie „Boże coś Polskę” przez seminarzystów tego charakteru nie zmieni. Że Cerkiew nie ma żadnych tradycji łączności z przeszłością Rzeczypospolitej, że hierarchja wyższa Cerkwi, jak i niższe duchowieństwo są przeważnie rdzenne rosyjskimi, że takimiż są i w większości słuchacze seminarjów duchownych oraz wydziału teologicznego — tego nie potrzeba dowodzić. Ich lojalność względem Polski jest wymuszona skutkiem wyjątkowych warunków, panujących w Rosji. Gdy te się zmieniają, ulegnie zmianie i zachowanie się kleru prawosławnego. Byłoby zupełną naiwnością opierać polską rację stanu na Cerkwi prawosławnej. A tembardziej interesy narodowe polskie. Bo trzeba zaznaczyć, że p. Cat jest niekonsekwentny i nie zawsze odróżnia interes państwowy od narodowego. Cóż ma wspólnego z poczuciem państwowości polskiej wschodni wygląd duchownego unickiego?

(Dok. nastąpi).

Obcy ludzie i obce metody.

(Głos Wilnianina).

Od jednego z działaczy miejscowych, z którym nie łączą nas zresztą żadne więzy wspólności ideowej, otrzymujemy poniższą niezmiernie charakterystyczną enuncjację, którą zamieszczamy jako ciekawy dokument, ilustrujący wymownie niejednokrotnie podkreślaną przez nas ewolucję w poglądach i nastrojach polskiego społeczeństwa w Wilnie, (Red.).

Należę do starych i wypróbowanych zwolenników ideologii i pracy Marszałka Piłsudskiego. Zawsze z zapałem głosowałem na listę sympatyków Marszałka. Oddziaływałem też w tym kierunku na licznych swoich znajomych i krewnych. Pracowałem na rzecz ideologii Marszałka wtedy, kiedy nikt jeszcze nie przewidywał przewrotu majowego z roku 1926, kiedy ci, co dzisiaj figurują na listach kandydatów do Sejmu z listy prorządowej przekomarzali się z dzisiejszymi wrogami Marszałka, a ci, co zajmują honorowe i wpływowo stanowiska szli luzem od wypadku do wypadku, ostentacyjnie zaznaczając, że nie należą do żadnej partji. Mimo wszystko my Wilnianie nie zostaliśmy zaproszeni do współpracy na rzecz umiłowanej idei, jakkolwiek nie żądaliśmy zaszczytów, ani honorowych stanowisk.

Osoby obce opanowały zarządy miejscowej Partji Pracy i Komitety Wyborcze Bloku dla współpracy z Rządem. Szukając zaszczytów, a przede wszystkim możliwych lukratywnych stanowisk, posiadając całą siłę w gębie i wielki tupet, zastępujący braki wewnętrzne, dotyczące ich wartości etycznej i umysłowej, osoby te z całą świadomością odpychają bardziej niezależny i wartościowy element miejscowy. Upatrują w nich zapewne niebezpiecznych konkurentów przy podziale spodziewanych w przyszłości korzyści i wpływów. Jednocześnie z tem osoby te pragną spowodować tą akcją wrzenie braku miejscowych sił politycznych i tem samem usprawiedliwić obecność i dalszy napływ elementów obcych, przybyłych z zewnątrz do Wilna dla rzekomej misji kulturalnej polskiej. Wilno i Ziemia Wileńska, które dawały od kilkuset lat ubogiej w jednostki wybitniejsze Polsce mężów stanu, które były nieraz głową dla Polski, kształcą jej rozum i język, i dzisiaj mogą się obyć bez pomocy „działaczy i mówców wiecowych” z dawnej Kongresówki i Galicji, którzy całą wartość ludzi upatrują w gębie i zależnie od siły tej gęby klasyfikują ludzi tutejszych. Wilno i Ziemia Wileńska posiadają dość ludzi światłych, ideowych i uczciwych, nie należy ich spychać z drogi z obawy o konkurencję, nie należy utrudniać, albo wręcz uniemożliwiać ich społeczne wysiłki, nie należy oczerniać ich pokątnie celem usunięcia z drogi niemiłych sobie konkurentów.

Mianowanie dra Maleszewskiego przewodniczącym Komitetu Wyborczego Bloku prorządowego, postawienie na drugim miejscu listy kandydatów do Sejmu, za parawanem ministra Prystora, dra Brokowskiego, ludzi nie tylko obcych psychicznie tutejszej ludności, ale jak świadczy szereg ich posunięć, usposobionych niechętnie względem miejscowej ludności, boją się, że zrazi dotychczasowych zwolenników Marszałka w Wilnie do listy prorządowej, powstrzymując nawet być może ich od głosowania.

My Wilnianie uważamy wyznaczenie powyższych obcych nam osób na tak odpowiedzialne sta-

nowiska za ciężką obrazę osobistą, za policzek wymierzony nam Wilnianom w chwili, kiedy zdawało się, byłby potrzebny zgodny wysiłek i harmonja. Cobyśmy powiedzieli o takiej rodzinie, którejby zaproponowano wybrać z pośród siebie delegata i która byłaby w kłopotcie co do takiego wyboru, zapożyczając kandydata od innej rodziny? Rodzina taka złożyłaby przedewszystkiem dowód własnego ubóstwa duchowego, co więcej zaprzeczyłaby samej zasadzie i idei wyborów delegatów od poszczególnych rodzin, wzmagając niesłusznie siłę przedstawicielstwa tej innej rodziny, która będzie miała aż dwu przedstawicieli zamiast jednego.

Są to skutki obsady miejscowych organizacyj prorządowych przez element napływowy. Na czele organizacji wojewódzkiej Partji Pracy stoją dr. Brokowski i p. Świdorski, a na czele organizacji miejskiej inż. Jenz i dyr. Hirsberg, ludzie obcy Wilnu. Metody ich działania są niemniej nam obce i niesympatyczne. Nastawienie tych osób względem Wilna i mieszkańców miasta i ziemi Wileńskiej jest negatywne, jeżeli nie wręcz nieprzychylnie.

Odpowiedzialność za ten stan rzeczy spada całkowicie na te czynniki, które nie rozumieją, że często lepszą rzeczą jest brak agitacji i milczenie od nieodpowiadającego danym miejscowym warunkom popisowego gadulstwa ludzi obcych.

Wilno, dn. 11 listopada 1930 r.

Wilnianin
(jeden z wielu).

Powtórzmy Grunwald!

„Vilniaus Rytėjus” z dnia 29. X. 1930 r., pisząc pod powyższym tytułem o mowie Treviranusa i akcji, jaka się wszczęła w Polsce po tej mowie, kończy swój artykuł znamienym zwrotem: „Bądźmy otwarci i powiedzmy wyraźnie, że nie wszystko jeszcze zostało zrobione przez społeczeństwo i rząd polski. Wiece, protesty, łódź podwodna są dobrą rzeczą i mają swe znaczenie. Świadczą one o stanowisku niezłomnego narodu, o jego postanowieniu bronić się i zmuszać do liczenia się z głosem narodu. Wszelako nie można poprzestać tylko na tem. Że tak jest, wskazuje nominacja Treviranusa na ministra Prus Wschodnich. Niemcy, jak widzimy, nie zwracają uwagi ani na protesty, ani nawet na łódź podwodną, skoro po tem wszystkim wyznaczają Treviranusa na stanowisko bliżej granic polskich, których rewizji się domagał. Jasnym przecież jest, że człowiek ten nie zrezygnuje ze swych dążeń i tuż pod bokiem będzie dokładał wszelkich starań, aby groźby jego urzeczywistniły się.

Tak. Obie strony zajęły zdecydowane stanowisko. Niemcy żądają ziem, utraconych po wojnie. Polacy oświadczyli, że nie oddadzą z nich ani piędzi. Niemcy umieją obliczyć siły własne i innych i ocenić trzeźwo sytuację. Widzą oni dobrze, że sytuacja polityczna, jaka się wytworzyła obecnie na wschodzie Europy, jest dla nich dogodna. Stosunki Polski z Rosją sowiecką są tego rodzaju, iż w każdej chwili mogą być zerwane. Z Czechosłowacją niema serdeczności i w żaden sposób nie odważy się ona na zatarg z Niemcami. Z Litwą Polska nie utrzymuje żadnych stosunków. Pozostają Rumunia, Łotwa i Estonia. Wszelako ostatnia wojna dowiodła, jaką wartość posiada pomoc Rumunji. Estonji nie można brać po-

ważnie, gdyż jest ona zbyt daleko i sama potrzebuje pomocy. Łotwa stale się waha, lawiruje i bez Litwy bodaj czy wystąpi przeciw Niemcom. W wypadku więc starcia Polski z Niemcami wrogowie staną jeden przeciw drugiemu i koniec łątu jest do przewidzenia. Poza tem, geograficzne położenie Polski również nie jest najlepsze. Wystarczy przyrzeć się mapie i nie będąc nawet wielkim znawcą spraw wojskowych, nie trudno przekonać się, jak silną twierdzą stanowią dla Niemiec Prusy Wschodnie. Z twierdzy tej nieprędko można ich wyrzucić. Mogą oni z niej, przez nikogo niepowstrzymywani, w bardzo prędkim czasie dotrzeć do najczulszych miejsc Polski.

Jakież może być wyjście z trudnej sytuacji? Jedyna odpowiedź — szukać przyjaciół w Europie Wschodniej. Jeszcze niebezpieczeństwo wojny nie zagraża. Jeszcze Niemcy mówią o rewizji granic, jako o sprawie, którą należy zakończyć pokojowo. Gdy jednak pokojowo nie uda się sprawy rozstrzygnąć, zostanie ona w przyszłości zakończona ogniem i mieczem. Należałoby więc zgóry przygotowywać się do tej decydującej chwili.

W roku bieżącym obchodzimy 500 rocznicę zgonu Witolda Wielkiego. Jego imię przypomina Grunwald, kiedy to na całe stulecia wstrzymano napór Niemiec na wschód. I obecnie czynione są przygotowania do Grunwaldu. Narazie Niemcy milczą o rozprawie orężnej, Polacy napomykają o niej przez plakaty i odezwy, prawdziwego jednak przygotowania ze strony społeczeństwa nie widać. A należałoby...

Należałoby, jak i w czasach Witolda Wielkiego, zrzesać te same narody do wspólnego czynu w przyszłości i należałoby naprawić błąd z 1920 r. i pogodzić się z Litwą. Jednocześnie należałoby tak pokierować polityką wewnętrzną, aby Ukraińcy i Białorusini uświadomili sobie korzyść ze wspólnego frontu przeciw Niemcom. Im prędzej zostanie to dokonane, tem mocniejszy będzie odpór. Byłaby to najlepsza odpowiedź Niemcom. Oni, jako ludzie praktyczni, natychmiastby ocenili nowy układ i zaczęliby się z nim poważnie liczyć”.

Słowom powyższym możemy tylko przyklasnąć.

Przegląd prasy żydowskiej.

Łcha artykułu p. Hołówki w „Kurjerze Wileńskim. — Szkoły dla świętujących sabat.

Na ulicy żydowskiej jak zresztą i nieżydowskiej walka wyborcza dosięgła swego punktu kulminacyjnego. W dobie takiej zażartej walki niema miejsca na sprawy zasadnicze; dominują sprawy taktyczne, błahe, obliczone na chwilowy efekt. Kiedy niekiedy ukazuje się tylko jakiś artykuł przygodny, potrącający o kwestje zasadnicze.

Do tych należą artykuły, omawiające i polemizujące z enuncjacją p. Hołówki w „Kurjerze Wileńskim” z dnia 5 bm. pod tytułem „Grynbaum—Sokołow”. Sporo uwagi poświęca mu zwłaszcza żydowska prasa wileńska.

„Cajt” cytuje najważniejsze ustępy tego artykułu prawie bez komentarzy. Jenó w końcu dodaje kilka słów od siebie:

„Jasno i dobitnie! Jasne są też intencje p. Hołówki. Zamiast naszej odpowiedzi p. Hołówko dostanie odpowiedź przy wyborach w dniach 16 i 23 listopada. A odpowiedź ta, jesteśmy pewni, nie wypadnie po myśli koncepcji p. Hołówki”.

„Wilner Tog” streszczając wywody p. Hołowki zastanawia się nad stosunkiem sfer rządzących do kwestii żydowskiej.

„Nas tu nie interesuje stosunek Polski do sionizmu, gdyż stosunek ten jeszcze nic nie mówi. Jest to jedno z najłatwiejszych zagadnień. Żaden rząd, z wyjątkiem Anglii, nie uchylił się od popierania sionizmu. Im bardziej jakiś rząd usposobiony jest antysemitcko, tem gorzej wypowiada się za sionizmem. Trudniejszy orzecznik do zgryzienia stanowi sprawa popierania przez państwo rozwoju narodowego i równouprawnienia obywateli, należących do mniejszości narodowych. Pan Hołowko chce, by za cenę popierania przez rząd polski sionizmu, Żydzi gromadnie opowiedzieli się za rządem. Takie postawienie kwestji jest charakterystyczne i dla p. Grynbauma i dla całego sionizmu, którego p. Hołowko jest zwolennikiem. Nie występujemy tu w obronę sionizmu. Nam chodzi tu o kwestję zasadniczą: oto jakim kryterjum się mierzy w naszych sferach miarodajnych wszystkie postulaty żydowskie. Samo określenie narodowości żydowskiej i przychylny stosunek do sionizmu (co nic nie kosztuje) są traktowane jednakowo i uważane jako przywilej, w zamian za który stawia się Żydom żądanie, by dali się użyć jako czynnik polonizacyjny w miejscowościach o mieszanej pod względem etnicznym ludności”.

* * *

W ostatnim numerze miesięcznika wydawanego przez Ministerstwo W.R. i O.P. p. t. „Oświata i Wychowanie” znajdujemy dane liczbowe co do szkół państwowych dla mniejszości narodowych w Polsce. Czytamy tam, że Ukraińcy mają 769 szkół państwowych; w 2264 zakładach ukraińskiej nauka była prowadzona w 2 językach (szkoły utrakwistyczne) i w 1700 szkołach język ukraiński wykładany jest jako przedmiot.

Białorusini mają 23 białoruskich szkół państwowych, 52 utrakwistyczne i w 100 szkołach polskich państwowych wykładany jest język białoruski jako przedmiot.

Niemcy mają 566 niemieckich szkół państwowych i w każdej szkole, do której uczęszcza 18 niemieckich dzieci, uczą ich niemieckiego. Litewskich szkół państwowych jest 20. W 26 szkołach uczą litewskiego jako przedmiotu. Czesi mają 17 szkół państwowych a Rosjanie 2.

Przytaczając te liczby białostockie „Dos Naje Leben” zastanawia się nad pytaniem, dlaczego wśród przytoczonych liczb niema wcale danych o szkołach żydowskich. Pismo cytuje ustęp, w którym jest mowa o żydowskiej młodzieży szkolnej, że dla niej są przeznaczone „szkoły polskie dla dzieci świętujących sabat” i powiada:

„Gdy jaki obcy, nieobeznany z temi stosunkami przeczyta sprawozdanie w miesięczniku „Oświata i Wychowanie”, myśleć będzie, że Żydom i Cyganom nie potrzebne są własne szkoły, że dla Żydów wystarczą „szabasówki”.

Pismo zestawia przytoczone powyżej liczby z danymi co do szkolnictwa prywatnego, wymienionymi w tym samym numerze na innym miejscu.

„Ukraińskich szkół prywatnych mamy w Polsce 30, białoruskich 3, niemieckich 239, litewskich 87, czeskich 11, rosyjskich 5 i wreszcie (jak zwykle nas stawiają na końcu) polsko żydowskich 189, polsko hebrajskich 23, żydowskich 197, hebrajskich 171 i żydowsko-hebrajskich 8. Jak widać jesteśmy tu poważnie reprezentowani, jakkolwiek umieszczono nas na końcu”.

Wobec tego pismo zapytuje:

„Dlaczego rząd zakłada „szabasówki” a nie wysłuchuje żądań rodziców, którzy domagają się szkoły państwowej z językiem wykładowym żydowskim, z językiem macierzystym Żydów?”.

Nawiązując swoje wywody do wystawianej

ostatnio w wielu miejscowościach sztuki A. Hertza „Młody las” autor kończy:

„Dla kogo innego walka o szkołę w języku ojczystym jest epizodem historycznym. Dla nas to jest rzeczywistość”.

J. H.

KRONIKA.

Uroczystości Witoldowe. Jak wiadomo, obchód pięćsetnej rocznicy zgonu Witolda Wielkiego, projektowany pierwotnie na wielką skalę w dn. 27 października został odłożony na grudzień. Natomiast Komitet litewsko-białoruski zorganizował swój obchód w terminie właściwym.

Uroczystości rozpoczęły nabożeństwo w kościele św. Mikołaja, poprzedzone odsłonięciem i poświęceniem w tymże kościele popiersia W. Ks. Witolda duża artysty rzeźbiarza Rafała Jachimowicza. Podczas nabożeństwa wygłoszone zostały kazania przez ks. Czybirasa po litewsku i przez ks. Godlewskiego po białorusku.

Po południu odbyła się akademja, która zgromadziła przeważnie publiczność litewską i białoruską. Na program złożyły się odczyty ks. Kraujalisa i dr. Olsejki (po litewsku) oraz ks. Stankiewicza (po białorusku), następnie podpisy wokalne i muzyczne. Wieczorem w sali hotelu Żorża odbył się bankiet z udziałem przedstawicieli społeczeństwa litewskiego, białoruskiego i polskiego, na którym wygłoszono szereg przemówień.

D. 7 listopada, jako w rocznicę złożenia zwłok w. ks. Witolda w podziemiach katedry. J. E. ks. arcybiskup Jędrzejowski w asyście licznej kleru odprawił nabożeństwo żałobne. Z krótkim przemówieniem o życiu i zasługach Witolda dla Kościoła katolickiego wystąpił J. E. ks. biskup Michalikiewicz. Ze względu na dzień powszechni publiczności w Bazylice zebrało się względnie niewiele. Przeważała inteligencja. Obecni byli również przedstawiciele władz cywilnych z powiatu wileńskiego.

Bez wabika. W okresie przedwyborczym mówi się pisze i drukuje tyle rozmaitych bzdurstw, że byłoby próżna strata czasu wszystkie je notować, podkreślać i wydrwiwać. Sami autorzy nie przywiązują do swych przedwyborczych twierdzeń i argumentów żadnej wagi i wrzeszczą ramionami, gdy potem ktoś im je wypomni i wytknie im sprzeczność lub niekonsekwencję.

Co innego jednak jest agitacja, a co innego oświadczenia programowe przedstawicieli danego obozu lub kierunku. Te ostatnie obowiązują, i nie można ich traktować jako weksli bezwartościowych. Inna rzecz, że wystawcy ich najczęściej zapominają o swych zobowiązaniach, a ci co im zaufali, nie posiadają żadnej egzekutywy by zmusić nierzetelnych dłużników do spełnienia swych obietnic. Tak było z hasłem autonomji naszego kraju, głoszonym przy zesłanych wyborach przez szereg ugrupowań, a o którym nie wspomniano ani razu w Sejmie.

Trzeba przyznać, że tym razem nikt nie będzie miał prawa rościć pretensji do przyszłych wybrańców sejmowych, żadna bowiem lista nie wystąpiła z wabikiem autonomicznym.

Nawet p. Bronisław Wędrzicki, który dał się poznać jako gorący rzecznik postulatów autonomji, pominął go całkiem milczeniem w rozmowie z korespondentem „Kurjera Wil.”. O p. Tadeuszu Hołowce niema co i mówić. W wywiadzie udzielonym temuż „Kurjerowi Wileńskiemu” p. Hołowko zaznaczył jedynie, że należy przedewszystkiem uporządkować sprawy wyznaniowe, powstrzymując się od wszelkich innych obietnic pod adresem mniejszości narodowych.

Za tak uczciwe stanowisko niewątpliwie należy się panu Hołowce całkowite uznanie. Polowanie z naganką uchodzi przecież za szlachetniejsze, niż podstępne wabienie łatwowiernej zwierzyny. Trudno tylko zrozumieć, czemu „Kurjer Wileński” uważa go za jednego „z najbardziej czynnych i popularnych działaczy państwowych nie tylko u Białorusinów, lecz i u wszystkich mniejszości w państwie”. Czy dlatego, że ich nie zwodził, czy też dlatego tylko, że jest czołowym kandydatem B.B. W. R. w okręgu święciańskim?

Niewdzięczność. Wypuszczeni warunkowo z więzienia skazani w procesie „Hramady” działacze białoruscy Taraszkiewicz, Rak-Michajłowski, Miotła i Burszewicz, korzystając z przedwyborczego zamętu, drapnęli do Gdańska, a stamtąd, jak wieść niesie, udali się do Mińska. W kołach sanacyjnych zapanowała z powodu tego wyraźna konsternacja. Na nikogo więc rachować nie można, ani na Litwinów, ani na Ukraińców, ani na Białorusinów nawet. A tyle przykładano nadziei w bezinteresowności tych ostatnich.